

HELL-P

Ostatnio ukazały się:

Maciej Guzek – Królikarnia

Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: cienie przeszłości

Jacek Piekara – Rycerz Kielichów

Księga strachu (antologia)

Księga strachu 2 (antologia)

Mariusz Kaszyński – Skarb w glinianym naczyniu

W przygotowaniu:

Anna Brzezińska, Grzegorz Wiśniewski – Na ziemi niczyjej

EUGENIUSZ DĘBSKI

HELL-P



Agencja Wydawnicza
RUNA

HELL-P

Copyright © by Eugeniusz Dębski, Warszawa 2008

Copyright © for the cover illustration by Maciej Dębski

Copyright © 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki: Studio Libro

Redakcja: Urszula Okrzeja, Renata Lewandowska

Korekta: Magdalena Górnicka

Skład: Studio Libro

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30–701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2008

ISBN: 978–83–89595–42–3

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00–844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0–22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

Podstawowym mankamentem tej powieści, widocznym już na pierwszy rzut oka, jest brak mapki. Co to za powieść, z elementami fantasy, bez mapki? No, ta jest bez. Po co komu mapka III Rzeczypospolitej?

Drugim podstawowym brakiem byłby brak podziękowań, amerykańska wszak powieść bez podziękowań nie istnieje. Zatem i ja dziękuję: Lamii, Ewie Białołęckiej i Andrzejowi Szotłysikowi. Calej trójce za to samo – wysiłek, którego celem było przeniesienie mnie w okolice potrzebnego mi toruńskiego radia. I to się udało.

Poza tą trójką ta powieść nie zawdzięcza już nikomu nic. Cała, na Dobre i Złe jest moja.

*W każdym człowieku siedzi upiór, potwór, diabeł.
Jeśli widzisz takiego, w którym nie siedzi
– uciekaj szczególnie rączo.
Tacy są najchętniej przez diabły zasiedlani.
Może tylko z tą różnicą, że nieco później.*

„Myśli bezładne” S. A. Win

PROLOG

Drzwi do budynku się uchyliły, po czym ukazała się ręka i pomachała do mnie.

– Wypuście dzieci! – zawołałem. – Będziecie mieli mnie.

– Chodź tu i nie dyskutuj, bo będzie krzywda! – rozległ się inny głos.

Zaleciało fałszem. Podniosłem ręce wyżej i opuściłem – to był nasz sygnał „Uwaga!”. Podeszedłem do drzwi i zobaczyłem, że stoi tam mężczyzna z bronią. Nie starszy z braci, Marek, tylko... I nie młodszy, Józek. Ktoś inny, bardzo marnie przypominający Józka. Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie i pomachał łufą tetetki.

– Zrzuć kamizelkę! – warknął.

Wolno odpiąłem rzepy, podniosłem płat brzuszny, obróciłem się i podniosłem to, co miałem na plecach. Przy okazji wyskandowałem bezgłośnie, samymi ustami do wpatrzonych we mnie Boja i Żaby: „To. Nie. Jó. Zef”. Znowu stanąłem twarzą do bandyty.

– Ściągaj, powiedziałem.
– Wolę mieć na sobie...
– Możesz se woleć. Zrzucaj, kurwa! Po chuj tu przy-
lazłeś? Klócić się ze mną?

Odpiąłem jeszcze dwa rzepy i rzuciłem kamizelkę na suchą trawę.

– Włóż!

Wszedłem do budynku.

Bandzior się cofnął, skinął na mnie i pokazał, że mam stanąć twarzą do ściany. Przejechał ręką po moich plecach, bokach i kroczu, podejrzenie sprawnie. Coś tu śmierdziało, coraz mocniej. Szarpnął mnie za ramię i pchnął w stronę otworu drzwiowego na wprost drzwi wejściowych; w korytarzu, w którym staliśmy, biegnącym wzdłuż ściany zewnętrznej, były jeszcze trzy drzwiowe otwory, jedno po prawej i dwie pary po lewej. We wszystkich brakowało nawet ościeżnic, zaradni miejscowi wypruli kiedyś wszystko, co się dało. W pokoju, do którego mnie wepchnął „Józek”, było okratowane okno. Do krat z lewej i prawej przywiązali za nadgarstki dzieciaki. Chłopcy stali zapłakani, z buziami, na których rozsmarowały się łzy i brud. Uśmiechnąłem się do nich, tylko czy to mogło dodać im otuchy? Dorośli może by się ucieszyli, że odsiecz jest blisko, a czy ośmiolatka może pocieszyć świadomość obecności posiłków?

Ten drugi, to był Marek, miał za pasem broń. Znaczący gazowiec. Może dlatego nie strzelał, żeby się nie zdradzić. To on został „trafiony” – draśnięty w głowę powyżej ucha. Ale tylko draśnięty. Krwawienie już ustało.

– Dzieci was obciążają – powiedziałem, przekroczywszy próg. – To dla was tylko kłopot. Nie męczcie

ich, wypuście, a ja przecież zostaję. I będziemy rozmawiali.

– O czym, kurwa?! – Podskoczył do mnie ten z tetetką i wsadził mi lufę pod brodę. Potulnie zadarłem wysoko głowę; nie patrzyłem mu w oczy. – O czym, ty wszo pierdolona?

„Wesz” – szpieg. Albo gość umyślnie popisuje się kminą, albo rzeczywiście siedział, czyli na pewno nie Warnicki.

– Przecież chyba nie macie złudzeń, że się stąd wyrwiecie? – Za lasem zaburczały silniki. – Śmigłowiec, słyszycie? Za kilka minut nawet zając nie wymknie się z kordonu.

– Pierdołę zajęce – powiedział i stuknął mnie kolbą w czoło.

W gruncie rzeczy dałem ciała. Trzeba było wyrwać mu broń; ten drugi, z gazowcem się nie liczył. Po pierwsze, w zasadzie nie miał broni, po drugie, chyba widział, że się wpakował w niezłe szambo. No i nie strzelał do ludzi, on miał o co się targować. Ale trudno, dogodny moment umknął. Potarłem czoło, żeby bandzior poczuł satysfakcję. Odskoczył.

– Chcesz gadać, to najpierw słuchaj – powiedział. – Chcemy jedną waszą furę, siadasz za kierownicą, bierzemy bajtla i jedziemy sobie stąd. Jak będziemy poza kordonem, wypuścimy was i po krzyku. Nie bój się, nie będziemy wyrywać chwasta.

„Wyrwać chwasta” – zabić przedstawiciela prawa. To też mi śmierdziało. Musiał wiedzieć, że zastrzelił kogoś w banku, że nie ma co liczyć na okoliczności łagodzące, i patrząc mi prosto w oczy, udawał, że nie ma

takiej wiedzy. Na co liczył? Na wóz liczył, na wóz, potem trzepnie się w tył głowy kierowcę, z czystej sadystycznej nienawiści do wszystkiego i wszystkich, którzy nie mają takich kłopotów jak oni, zabije Warnickiego i dzieciaki, i runie w Polskę. Zdesperowany, rozjuszony, rozgrzeszony we własnym popierdolonym sumieniu. „Postępuję tak, bo oni mnie do tego zmusili! Gdyby się nie pchali ze swoimi spluwami, gdyby mi pozwolili spokojnie odjechać... A tak to macie!”.

– Wiesz, że to niewykonalne. Nikt mi nie pozwoli dać wam fury – powiedziałem. – Choćby dlatego, żebyście nie mogli narozrabiać więcej. – Popatrzyłem na Warnickiego. – W tej chwili jeszcze nie wszystko stracone, ale jeśli odrzucicie okazję do uwolnienia zakładników, prawo zacznie doliczać wam miesiące i lata z każdą godziną przetrzymywania dzieci.

Warnicki obrzucił rozpaczliwym spojrzeniem dzieci; młodszy chłopiec zaczął płakać. Odwróciłem się do niego, żeby powiedzieć coś uspokajającego, ale nie zdążyłem. Ten z pistoletem odskoczył jeszcze o pół kroku, nagle odwrócił się i strzelił do współnika. Mężczyzna zgiął się wpół, trafiony z odległości metra w brzuch i z jękiem zwałił się na kolana. Przyciskając ręce do tułowia, wytrzeszczył oczy.

– Poso... ka? Co ty robisz-sz?

Zwałił się na bok. Obaj chłopcy ryczeli na cały głos.

Posoka popatrzył na mnie. Spokojnie podniósł pistolet. Cholera, ile jeszcze miał tam naboju? Przeladowywał wcześniej? Miał zapasowe magazynki czy zostały mu tylko trzy pociski? Nie, za pewno się czuje, musiał mieć zapas amunicji – i wycelował do mnie.

– Nie będziemy negocjowali, psie! – wycedził. –
Albo zrobisz, co ci każę, albo rozwalę jednego szczyła...
– Przesunął lufę i wymierzył w młodszego z chłopców.
– Pif! – powiedział i udając podrzut, uniósł z uśmiechem
pistolet.

– Posoka-a... – jęknął Warnicki.

Posoka odwrócił się do niego.

Nie było już na co czekać.



ROZDZIAŁ 1

Podobno najlepszym początkiem powieści mogłoby być takie zdanie: „– Kurwa mać! – rzuciła księżna”.

Na pewno najgorszym początkiem dnia roboczego byłoby: „– Panie Kamilu, szef pana prosi”.

Ja nie jestem w powieści, nie jestem księżną. To do mnie ruda, aktualnie, Stefa powiedziała:

– Kamil, stary cię bierze. Chyba zjebka.

Tego się za bardzo nie bałem. Nie miałem nic na sumieniu, ale też nie miałem nic do roboty, a to oznacza, że szef może mnie w coś wkręcić.

W zadanie.

– Już teraz? – zapytałem rudą.

– Za... – rzuciła okiem na monitor przed sobą – ...kwadrans.

Dobrze, coś sobie wyszukam. Pognałem łącznikiem między dwiema willami, ze swojej części do archiwum.

– Józwa – rzuciłem, udając lekką zadyszkę – daj mi coś. Coś do roboty.

Pokręcił głową.

– Nie? Nie dasz? Ty? Mi nie dasz?

– Nie dam. Stary już dryndał i powiedział, że jeśli przyjdiesz z jakąś pozorą, to mi wsadzi w dupę materac dymany i zacznie...

– Dobra, sam se nadymaj.

Czyli wtopa, i z wyjazdu na łono nici. A tak lubiłem, na polanie, w kwieciu, w wysokich zielonych rozgrzanych słońcem trawach...

Spróbowałem inaczej:

– Opowiem ci dobry dowcip?

Józwa oderwał wzrok od monitora:

– No?

– Stoją trzej faceci przed zamkiem maga. Jeden mówi: „Cieszę się, że już tu jestem. Mag da mi mądry rozum!”. Drugi: „A mi dobre serce!”. Trzeci: „A mnie?”. Dwaj pierwsi: „A ty będziesz dawcą!”.

Poruszył żuchwą na boki, co u niego oznacza szeroki uśmiech, już myślałem, że go mam, gdy nagle warknął:

– Kamilek! Kurwa, co z tobą? – Wskazał palcem wyciszony niemal do zera interkom: – Stary cię szuka!

Odwrociłem się i wykonałem trasę powrotną. W sekretariacie Stefa zrobiła słynny w placówce „zmijowy jęczyzek” i wskazała kciukiem drzwi.

– Żadnych rad? – zapytałem szeptem.

– Absolutnie zero – odpowiedziała.

Franca.

– Zero to jest absolutne – warknąłem, zapominając, że tylko głupiec zadziera z sekretarką przełożonego.

– Może też być mniej niż zero – rzuciła obojętnie.

Uff, nie przejęła się moją agresją. Albo, menda, udaje.

Odetchnąłem, poprawiłem krawat, nastroszyłem języka na głowie i bez pukania wszedłem do gabinetu szefa.

– Aspirant...

– Pamiętam. Nie awansujesz od dwóch lat, to zapamiętałem stopień. – Wskazano mi krzesło. – Siadaj.

Mój przełożony, Konrad S. Tupoj, uwielbia kapitana Klossa i wygląda jak jego drugojajeczny brat: falujące włosy z bujnym lokiem nad czołem, starannie ogolony, ale z wąsem, dlatego w tym aspekcie przypomina Gromosława Czempińskiego, zresztą swojego byłego przełożonego. I z tej jednak, i z drugiej strony wygląda jak zacny lew salonowy, o ile to określenie jeszcze pakuje i ktoś je rozumie.

Nie udawał, że patrzy w moje akta, patrzył mi w oczy. I szacował.

Tupolew. Od czasu, gdy ktoś wytłumaczył, że po rosyjsku „tupoj” znaczy „tępy”, nazywamy szefa „Tupolew”, taka subtelna „sra półgłówek”: z rosyjska, żeby się czuło, że wiemy, co znaczy, ale nie jesteśmy na tyle durni, żeby tłumaczyć wprost.

Zresztą – broń Panie! – nie jest tępakiem.

W naszej firmie, jak i pokrewnych, tępaków nie ma. Mogą być lizusi i sługusi, konformiści i gorliwcy, ale dupek, bez względu na to, jaka „politopcia” rządzi, wstępu tu nie ma.

– Kamil, jest subtelna i bardzo, ale to bardzo dyskretna sprawa.

– Mam na drugie imię Milczek – zapewniłem go.

Poczęstował mnie spojrzeniem numer cztery: „Kie-gochuja się wygłupiasz?”.

– Kończ kabaret. – Skinąłem głową posłusznie. – Za chwilę pojawi się tu pewien gostek. To Polak, ale z USA. Nie przedstawiciel Polonii. Sam ci powie to, co ci powiedzieć chce i może. Ja cię oddaję pod jego komendę, i zapominam o tobie aż do zakończenia sprawy. Czy też spraw. Ty najlepiej również o nas zapomnij, gdzie jesteś zatrudniony, nie oczekuj wsparcia, specarsenału, spektakularnych akcji... Dla własnego dobra i zdrowia, zapomnij o tym. Pamiętaj: idziesz pod jego komendę i on o tym wie.

Uniosłem brew.

– Wypadasz na coś na kształt urlopu bezpłatnego – ciągnął przełożony. Głośno przełknąłem ślinę. Tupolew omiół spojrzeniem sufit, czyli już zaczynałem przeginać. – Wypłacimy ci nagrodę okolicznościową, za... – Zastanowił się, ale nie znalazł niczego w moich dokonaniach. – Za coś tam... Postaraj się po prostu nie wciągać firmy do tej sprawy, dobrze?

– Broń? Łączność?

Pokręcił głową.

– Zrozum: „postaraj się nie wciągać” nie oznacza, że zostajesz sam, a my patrzymy, jak ktoś cię dyma. Nie. Ale dopóki się da, i na ile się da, nic oficjalnie nie wiemy. A prywatnie powiem ci, że gównie wiem, i że się z tego cieszę.

– Czy mi się zdaje, czy tu cuchnie polityką?